

Na końcu świata

Tamta wioska to jedynie dwadzieścia domów. Sześć z nich już dawno odmówiło tutejszej ludności posłuszeństwa. Niektóre oddały się lubieżnie chwastom – powojom, pokrzywom i puchatym o tej porze roku mleczom. Inne nie sprzeniewierzyły się burzom i mury kruszą się, a niektóre cegły leżą bezładnie na podwórku. Trzy z tych sześciu domów zamieszkują dziwacy, uznani przez miejscowych za niepotrzebnych, oficjalnie zatem wypada, należy czy trzeba przyznać, że w żaden sposób nie są to ludzkie osady. Tak przynajmniej nakazuje tutejsze prawo, bo od dziwaków nie pożycza się soli, ani nie pyta się ich o samopoczucie. Tak utworzył się, obok tego tradycyjnego, drugi cmentarz, kontrolowany i nieco teatralny, gdzie dziwacy i domy podzielili się rolami. Ci pierwsi otoczenia są martwym milczeniem, domy zaś udostępniają swe podwórza i czynią z nich miejsce pochówku dla ludzkich słów, które nigdy nie zostały wypowiedziane.

Dobrze. Jeśli więc chcemy oceniać, stańmy na małym placu pośrodku wioski i zaufajmy omylnym zmysłom. Wzrok. Ten placik to płaszczyzna, której centralnym punktem jest przystanek – solidny, murowany, z drewnianym dachem. Autobus nie jeździ dalej, bo dalej oznacza donikąd. Sto metrów stąd jest już ukraińska granica. W rzeczywistości to granica Polski i Ukrainy, ale tu nikt tak nie powie. Widać też domy, małe, nieszczerze zadbane. Dużo zieleni. Dotyk. Nie czuć nic, lecz prawa natury, fizyki czy czegośkolwiek, w co się wierzy, każą stwierdzić, że większa część powierzchni ciała styka się z powietrzem. Stopy oddziela od udeptanej, zwirowej powierzchni podeszwa buta. Słuch. Słysząc warkot motocykla listonosza, który rozwozi pocztę od domu do domu. Węch. Jesienny dym z palonych, suchych liści. Smak. Nic. Taka jest ta chwila – mały odłamek życia tego miejsca, opisana z nieobiektywnej perspektywy tego właśnie obserwatora.

Pani Srokowa

Pani Srokowa gotuje zupę. Pokroiła już kartofle i całą niezbędną resztę. Czeką, aż woda zacznie wrzeć, wtedy wrzuci warzywa. Robi to od czterdziestu lat, odkąd wyszła za mąż. Zawsze najpierw wszystko przygotowuje i czeka na wrzątek. Ma wtedy czas na marnowanie czasu, czy – jak mawia pan Sroka – na myślenie o niebieskich migdałach. Sól, słodkie kartofle, kwaśna kapusta i gorzki kminek – tak myśli Srokowa, tak czuje. Nie umie jednak określić metalicznego posmaku wody ze studni i dziwi się strasznie, dlaczego wyróżnia się tylko cztery smaki. Martwi ją to od czterdziestu lat, odkąd wyszła za mąż. Zawsze, kiedy gotuje zupę wszystko skrupulatnie określa, ale wciąż jej czegoś

brakuje, jakichś smaków do udoskonalenia kolekcji. Srokowa nie wie, że wymyślono już piąty smak – *umami*, a odważniejsi naukowcy wyczuwalną obecność jodów wapnia nazywają smakiem szóstym – wapiennym. I nie będzie jej dane dowiedzieć się, chociażby gotowała zupy przez kolejne dwadzieścia lat.

Srokową ta niewiedza czasem boli. Zawsze wtedy pyta męża:

- Czujesz dziwny posmak wody?
- Jakiej wody? – odpowiada pan Sroka.
- Naszej, ze studni.
- Głupia jesteś. Woda nie ma smaku.

Ona wie jednak, że wszystko musi mieć smak, nawet powietrze, nawet wiatr. Żyje więc nadzieją, że kiedyś się dowie.

Starzec

Kilkanaście domów to samotna wyspa, czworokąt wciśnięty w żyjącą własnym życiem przestrzeń. Te domy nie powinny się tu znaleźć. Takiego zdania jest Starzec. Od wschodu odgródzone są siatką i granicznym szlabanem otwieranym trzy razy do roku – na Zadzuski, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Ludzie wędrują wtedy z jednej strony na drugą. Jest to najdziwniejsza podróż, jaką zna świat, podróż zarazem krótka, bo liczona na metry, i daleka, bo do innego państwa. Podróż bezpieczna, prostą drogą, lecz groźna, bo powracają wspomnienia, że kiedyś mieszkało się po drugiej stronie. I wreszcie jest to podróż do umarłych – szybko sprząta się groby i wraca do domów znajdujących się po tamtej stronie szlabanu. Przejście jest czynne jedynie kilka godzin. Potem zostanie się tam, po innej, nie swojej stronie, a wtedy trzeba jechać gdzie indziej, aby przekroczyć granicę, i bardzo nadkładać drogi. Jest to dziura w przestrzeni, trzy razy do roku z zegarkiem w rękę, jest to wehikuł czasu. Dlatego strona wschodnia jest Starcowi najbardziej obca.

Od reszty świata wieś oddzielają tory, nieużywane od dwudziestu lat. Pociągi jeździły kiedyś tędy na Daleki Wschód. Dziś dwie metalowe szyny zarzewiałybiegną do miasta. Rosną na nich samosiewki – kilkuletnie brzozy, olchy i buki oraz wszelkiego rodzaju zielisko. Starzec chodzi codziennie wzdłuż torów – cztery, pięć kilometrów, zależy, ile ma siły. Zbiera do reklamówek owoce dzikiej róży i winniczki na eksport.

Rzekę i górę Starzec pamięta z lat młodości. Od tamtego czasu nic się nie zmieniło. W rzece nadal łowi ryby, na górze – zbiera zioła. Ryby zjada. Zioła suszy i sprzedaje. Tu nic się nie zmieniło. Tak, domy nie powinny tu stać. Ziemia ich oszukuje, po roku urodzaju następują dwa lata klęski. Woda ich nie chce. Po spokojnych wiosennych roztopach przychodzą dwa lata powodzi. Tory zamknięto, cywilizacja jest im wroga. Granicę zapieczętowano na wieki, z przerwą trzy razy do roku. Starzec wie, że najlepiej żyć tu ze zbierania ziół i winniczków. Młodzi czują tę niegościnną ziemię i nie wracają. Pozostali starzy, starsi i najstarsi. On czuje, że ta kraina kiedyś albo stanie się krainą umarłych,

albo powróci do natury. Zostanie wchłonięta przez granicę, przywłaszczona przez tory, rzekę lub górę.

I jest jeszcze jeden, najważniejszy dowód, że to nie jest miejsce dla ludzkiej osady. Fundamenty cerkwi leżą od lat nietknięte, ten temat to tabu. Nikt, kto jest stąd, nie odpowie, jeśli się go zapyta, dlaczego zburzono święte miejsce. Nikt, kto jest stąd.

17

To numer domu, który od dawna jest opuszczony. Właściwie to już sterta cegieł i trochę dachówek. Srokowa bierze kosę i idzie pod siedemnastkę. Rośnie tam niczyja koniczyna, soczysta i wulgarnie zielona. Srokowa lubi słowo „niczyj”. Jest puste i miękkie, samo jego znaczenie pokazuje, że do nikogo nie należy. Nie ma koloru, nie budzi skojarzeń. Właśnie taka chciałaby być. Ale ona jest Srokowa, wszyscy kojarzą ją z mężem, jest na swój sposób jego własnością. Ona jest chodzącym obiektem skojarzeń – domowych krzyków, siwiejących włosów, nieślubnych wnuków. Nie martwi ją to szczególnie, bo plotka, wiejskie Skojarzenie, to jak zabawa dużych dzieci w głuchy telefon, dorabianie wersji. Srokowa jeździ czasami pod sklep, trzy kilometry rowerem, bo ten jest najbliższy, i stojąc w kolejce, słucha paplania. To, co słyszy, budzi w niej lęk. Zawsze zapomina czegoś kupić, bo jak najszybciej chce wyjść. A kiedy już wyjdzie wsiada na swój rower (pomalowany szarą emalią składak) i pedałuje do domu ile sił w nogach. Srokowa zna kolej rzeczy, przecież nie jest głupia. Ale dopiero teraz, kosząc koniczynę, może sobie wszystko poukładać w głowie. Należy zrobić zakupy zgodnie z listą i nie wychodzić za szybko ze sklepu. Potem mówi, że wybiega tak, bo wstydzi się nieślubnych wnuków. Srokowa tłumaczy to sobie od roku, ale nigdy nie może się przełamać.

Wilcza jagoda (*Atropa belladonna* L.)

Odkąd Starzec robi napar z wilczej jagody i krwawnika, miewa dziwne stany, których nie potrafi wytłumaczyć. Czuje jakby jego dwa zmysły – węch i smak – zlały się w jedno. Wczoraj, gdy poczuł woń smażonej ryby, w ustach miał słodkawy smak białego mięsa, skażonego jednak mulistym dnem rzeki. Czuł to tak intensywnie, jakby poczuł zapach było tym samym, co jeść.

Wilcza jagoda rośnie w zagajniku. Tak się mówi na to miejsce, chociaż w rzeczywistości jest tylko zarośniętym chaszczami placem na uboczu wioski. Krzewy głogu i wysokie trawy zasłaniają to, o czym ludzie chcieliby zapomnieć – fundamenty cerkwi. Potężne, betonowe kolosy leżą i głucho obrastają mchem. Starzec pamięta, jak młodzi chłopcy z żebrami wysklepionymi na brzuchach mieszały cement i jak powoli rosła niewielka, toporna świątynia na planie rotundy. Ludzie nie zdążyli się w niej namodlić, chyba nie zdążyli uprosić dla niej ocalenia. Zrobiono tam magazyn, a potem ktoś wydał nakaz

rozebrania cerkwi. I znów ci sami chłopcy, a właściwie już mężczyźni, rozebrali cerkiew – cegła po cegle, w jeden dzień. Szkoda było budulca, więc miejscowy członek partii wybudował sobie z tych cegieł stajnię. A ponieważ podstawą świata jest paradoks, to właśnie dla paradoksu stoi ona do dziś tuż obok placu, gdzie kiedyś była świątynia.

Starzec pamięta wszystko bardzo dokładnie. Dziś większość z budowniczych i jednocześnie niszczycieli ma po sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat i żyją oni swą własną klątwą. Nie potrafią sobie wybaczyć, że nikt się nakazowi nie sprzeciwił i że buduje się tak długo, a niszczy – w jednej chwili.

Po rozbiórce zasadzono krzewy i drzewa. Wszystko porosła wilcza jagoda. Piękna, czarna i trująca. Starzec zbiera ją i robi swój mieszający zmysły napar. Owoce są śmiertelne, liście szkodzą dopiero w większych ilościach. Kroi je i zalewa wrzątkiem. Resztę ziół sprzedaje w skupie.

Eliza

Jest młoda. Przyjeżdża tu raz na pół roku. Czemu? Nie wiadomo. Nie ma w tym miejscu nikogo. Jej rodzice spędzili tu całe swe życie, ona wyjechała. Chciała studiować. Zmarli rok po jej wyjeździe. Dom, który tu został, to rudera. Eliza zawsze, kiedy przyjeżdża, znajduje drewno na opał pod schodami. Śpi na strychu, bo w całym domu śmierdzi grzybem i myszami. Ten koniec świata ją przynębia. Tory zamknięto, cywilizacja jest im wroga. Granicę zapieczętowano na wieki, z przerwą trzy razy do roku. Młodzi tu nie wracają. Zgadza się w tym względzie ze Starcem.

Odwiedza Starca zawsze, kiedy tu wraca. Niby kogo miałyby odwiedzać? Sąsiedzi nigdy jej nie lubili, nie chciała się bawić z innymi dziećmi. Rodzice nie utrzymywali kontaktów z nikim. Więc chodzi do niego. To jest jej rytuał powrotów. Każdy chce wracać, nawet wtedy, gdy nie ma do czego. To syndrom rodzinnego gniazda – dla Elizy najbardziej kłopotliwy, ale nie do zwyciężenia.

– A więc jesteś? – mówi Starzec.

– Jestem. Jutro już jadę.

– Jak myszy? – znów pyta.

– Zjadły już całą podłogę w kuchni, więc śpię na strychu. Zostawię im trochę chleba, może szybciej wchłoną w siebie ten dom – jak Popieła.

– Dam Ci trochę suchego. Masz prawo do spełniania swoich marzeń, jeśli jesteś ich pewna.

– Aha, chciałam podziękować za drewno pod schodami. Zawsze pamiętasz.

– Jakie drewno, dziecino? – pyta, udając zdziwienie.

– Za każdym razem mówisz to samo... Będę szła powoli. Wrócę za jakiś czas – mówi Eliza.

– Zatem żegnaj – odpowiada Starzec.

Powrót

Tak. Należy spełnić obowiązek powrotu. Wszyscy wracają. Eliza czuje, że coś ją tu ciągnie. Uważa to za prymitywne. Jeszcze tylko jedna noc w tym domu cuchnącym mysimi odchodami. Zostawi im jedzenie jak zawsze. Niech się rozmnażają. Może jak dom się rozpadnie będzie miała pretekst, by nie wracać. Albo nie, pojedzie teraz. Jeden dzień wystarczy. Ta paskudna dziura w czasoprzestrzeni wysąsa już z niej energię życiową. Starczy na pół roku. Nagle Eliza wkłada rękę do kieszeni. Zostawiła kluczyki do samochodu w chałupie Starca. Musi zawrócić, inaczej zostanie tu na zawsze.

Eliza bierze kluczyki ze stołu i chce wyjść. Ale Starzec ją zatrzymuje. To zły znak. Wracasz tu od pięciu lat i nigdy dotąd jej nie zatrzymał. To ona decydowała, kiedy opuszcza koniec świata. A dziś Starzec każe jej poczekać. Sam wraca po chwili z wielką walizką. Najpierw wyciąga czerwoną rękawiczkę. Eliza czuje uderzenie gorąca w mózgu. Potem szalik – krew pulsuje szybciej, książka – Eliza siada, srebrny łańcuszek... Starzec wyciąga kolejne przedmioty, a ona patrzy z niedowierzaniem. Pięć lat. Dziesięć powrotów. Za każdym razem czegoś jej brakowało, jak rozpakowywała rzeczy w mieście.

– Skąd to masz? – pyta Eliza.

– Niektóre zostawiałaś u mnie w chałupie.

– A reszta? – dopytuje.

– Znalazłem pod twoim domem.

– Dlaczego mi tego nie zwróciłeś wcześniej?

– Posłuchaj dziecino. Masz prawo decydować, czy Twój dom się rozleci czy nie. Moim prawem jest zrobić, co zechcę, z rzeczami, które znajduję. Znajduję winniczki – sprzedaję je na eksport. Znajduję zioła – suszę je i zawożę do skupu. Twoje rzeczy chowałem do walizki. Ale dziś pierwszy raz odkąd pamiętam, a pamiętam wiele, ostatnia wilcza jagoda obumarła w starej cerkwi. I dziś Ty wróciłaś. Uznałem, że należy pokazać Ci, że twoje miejsce jest tutaj.

To, co mówi starzec, przeraża Elizę. Przygniata ją każdym słowem, zwłaszcza, że przez pięć lat jej powrotów niewiele mówił. Eliza wstaje i idzie do wyjścia. Czuję się, jakby ktoś napoił ją sokiem z owoców wilczej jagody, które zbierano całą noc specjalnie na jej śmierć. Jednak zatrzymuje się i odzyskuje siły. Może to ciągłe wracanie tak ją męczyło. Musi to przemyśleć. Ma już wyjść, ale jeszcze w drzwiach słyszy głos Starca.

– Pod studnią jest chleb dla myszy.

Eliza stoi. Widzi w półmroku worek po mące wypchany chlebem, oparty o ściankę studni. Nie, musi teraz zdecydować. Raz na zawsze, raz do końca świata, raz na końcu świata. Nareszcie odpowiada.

– Daj kurom. Trzeba naprawić podłogę w kuchni.



Edyta Łukawska, *i tak nas nie złapiesz*